

Nie odrywają podjęczających, serowatych ślepi, zwarzonych, żółtych oczu. Rzucają dobre rady, że co się cykam, muszę pchać zdecydowanie mocniej, to nic, że ledwie się trzymam na nogach, jestem wycieńczony podróżą, pielgrzymka dookoła lasu, przez ostatnie dni jadłem jedynie czerń, gryzłem po kawałku otchłań, w której byłem uwięziony, muszę mocniej, a zobaczę: post factum będę jak nowonarodzony; seks, pod warunkiem, że jest energiczny, wyciąga z człowieka nawet największe zmęczenie (ciekawe, którą drogą, he, he).

Sytuacja byłaby naprawdę groteskowa, kuriozalnie tragikomiczna, gdyby nie fakt, że... nigdy się nie wydarzyła.

Zwyczajnie nie wierzę w to, co się dzieje, co robię, w zgrzyt, stosunek, moją bezwiedność, bezwolność, bezwładność, stan permanentnej nieważkości.

Widzę i biorę w tym udział, uczestniczę tak cholernie aktywnie, że chyba bardziej się nie da, jednocześnie nie dociera do mnie w pełni fakt obecności pod wiaduktem, z bandą cudacznie ubranych ludożerców; rytualny seks, choć nie mam pojęcia ku czci jakich bóstw, mocy miałyby być te obrzędy, co symbolizować, za co przepraszać, albo o co przez zwykłe pieprzenie się, prosić.

Jestem tu, fakt, ale mam szalenie silne poczucie nie tyle dystansu, ile odrębności, fizycznego przebywania w innym wymiarze. I nie ma w tym nic z metaforyki, podmostowy (obecnie) poeta ma na myśli, iż to się odpierdala w jedynej wersji rzeczywistości, jaka jest mi wyświetlona przed oczami.

Andriej i spółka śnią się Eskimosowi żyjącemu po innej stronie globu, daleko, nawet nie, heh, w Polsce, nie w którejkolwiek z jej odmian.

Albo lepiej: zabitej przez niego foce. I ów szalony sen leci dookoła Kuli Ziemskiej, a ja stoję dajmy na to na przystanku autobusowym, czekam na kurs z roboty do domu. I nagle - pac! - w tył głowy uderza ten, ciężki jak z betonu, mały tęczy balonik. Rozbija się, zawartość wlewa mi do pogruchothanej czaszki.

Walę się na plery tobołkowatych bab, dyskonciarskich łowczyń promocji, facetów w kaszkietach, dziennych lunatyków w szlafmycach - i jednocześnie czuję, że jestem tutaj, ta daaam! - wyskakuję z kapelusza magika, szapoklaku Grabaża z Pidżamy Porno, melonika Charliego Chaplina.

Ta daaam! - powtarzam gramoląc się spod peruki Połomskiego, czy wyplątując z meandrów tribala, jaki na potylicy dumnie nosi Grzegorz Skawiński.

Przełączę do innej rzeczywistości. Życie to (może, oby!) scenariusz Incepcji, a ja jeszcze nie wiem, że przypadła mi główna rola (za karę? za jakie grzechy?), jeszcze nie dotarło do mnie, że jestem Dominic-kiem Cobbem.

Dźwigam się do pionu, a tymczasem rodzinne Zmotankowo, Murożyce, Wilkogród, Zgniłomierz, walą się w... piksele. Upadają ulice, całe kwartały, światła, gasną siegające niebios wieże katedry pod wezwaniem Matki Boskiej Logicerskiej. Lud forsuje barykady Przygodni. Zaraz potem - w tempie, jakiego w latach pięćdziesiątych zazdrościliby najciężej harujący przodownicy pracy, wylewacze siódmych potów przy odbudowie obojętnie której z polskich stolic (jak na razie doliczyłem się siedemnastu, ale pew-

nie są takie, o których nie wiem, czają się pod stodołami, w zasiękach, pustych, króliczych klatkach, w drwalkach, wszelkiej maści szopach, rupieciarniach, zapełniają sobą strychy i przybudówki chałup; bardziej, niż prowincjonalne stolice bezPolski, piwniczne miasta z pajęczej, brudnej od węgla przędzy, z wikliny i krochmalu, obwieszane koralami jarzębiny i bursztynu, a może amuletami z czaszek potopionych kociąt, stolice nadające się tylko do nadziania na widły i wyrzucenia z obory na przymę, mierzwiane, istne mierzwatoria, gdzie w laboratoriach, mikroskopijni naukowcy opracowują coraz to nowe, wymyślniejsze rodzaje gnoju. Domyślam się istnienia tych stolic-sierotek, niemalże osamotnionych, nieuznawanych przez większość Polaków, ale na upadłego, mimo wszystko pragnących być ICH) - w głowie wyrastają mi kamienice, drapacze, smyracze chmur, dzielnice biedy, willowe, stricte komercyjne dzielnice handlu, bazarów, chińsko-straganiarskie.

Cały kraj kielkuje na spalonej ziemi. Inny, nie do poznania (Polska jako chwast, czy wirus umysłu, zgubna idea, mania - zbyt grafomańskie i zgrane, jak dla mnie).

O co u diabła mi chodzi? Nie wierzę, że to się dzieje, wiem, że to... jest dziane - wyrzekł Rafał-Pytiusz (Pytong?) delficki, jak zawsze - bełkotliwie, zbyt wieloznacznie i przez to niezrozumiale dla nikogo, kto nie jest, tak jak on, pieprzonym świrem.

Tu, po drugiej stronie, za podszewką, pod niedokończonym wiaduktem autostrady do Lemurii, na Atlantyde, do Pompejów, czas biegnie sztucznie, bardziej groteskowo.

Kocham się z chrześcicielką, przyjmuję chrzest święty (sic!), a obok - wianuszek dziwożon i dziwomężów. Widzowie i kibice, czy raczej kibole, domorośli - jeśli można tak ich określić, bo nie wyglądają, jakby kiedykolwiek mieli coś na wzór, w ogólnych zarysach przypominającego dom, szałas, igloo, czy ziemiankę - domorośli nauczyciele seksu nie przestają wykrzykiwać ponagleń i innych, bardziej ... hmm... technicznych rad.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 05.01.2020 15:47

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.